

Nie ufam ruchom społecznym

18 października 2018

Ruchy, które zajmują się tylko jednym problemem, albo tylko jednym rozwiązaniem, są skazane na niepowodzenie, ponieważ nie zdołają zapanować nad skutkami nie usuwając przyczyn.



Z moim przyjacielem Wesem Jacksonem odbyliśmy niejedną pożyteczną rozmowę na temat konieczności wycofywania się z ruchów – nawet z tych, które wydają się nam potrzebne i są nam bliskie – kiedy popadają one w zadufanie i zaczynają zdradzać same siebie, a wygląda na to, że dzieje się to niemal w każdym przypadku. Uczestnicy tych ruchów zbyt chętnie gotowi są odmawiać innym tych samych praw i przywilejów, których domagają się dla siebie. Zbyt łatwo stają się niezdolni do traktowania poważnie własnych słów – np. gdy „ruch pokojowy” zaczyna uciekać się do przemocy. Często ruchy stają się zbyt wyspecjalizowane, sprawiając wrażenie, że ostatecznie nie miały innego wyjścia, jak tylko skupić się na wycinkowym polu widzenia instytucjonalnych intelektualistów. Niemal zawsze są zbyt mało radykalne – zajmują się w sumie bardziej skutkami niż przyczynami. Albo też zajmują się pojedynczymi problemami bądź pojedynczymi rozwiązaniami, jak gdyby chciały same sobie zagwarantować, że na pewno nie będą dostatecznie radykalne.

Muszę więc zadeklarować swoje niezadowolenie z ruchów na rzecz ochrony gleb czy na rzecz czystej wody, czystego powietrza czy ochrony dzikiej przyrody, zrównoważonego rolnictwa czy zdrowia społeczności, a także na rzecz dzieci. Jakkolwiek godne są te wszystkie – i jeszcze inne – cele, nie da się ich zrealizować pojedynczo. Takie wysiłki nie przynoszą mi satysfakcji, ponieważ są zbyt specjalistyczne, w niewystarczającym stopniu ogarniają całość problemów, są nie dość radykalne i praktycznie same zwiastują własne niepowodzenie, sugerując, że można zwalczyć czy opanować skutki, nie usuwając przyczyn. Poza tym wszystkim, moim zdaniem, są one nieszczerze; sugerują bowiem, że problemy stwarzają inni; chciałyby zmienić politykę, ale nie zachowania.

Największym niebezpieczeństwem może być to, że słowa, jakimi posługuje się dany ruch, tracą swoje właściwe znaczenie – albo wskutek braku jasności co do swojego sensu i właściwej praktyki, albo w efekcie przejęcia tego słownictwa przez wrogów ruchu. Pamiętam, na przykład, moją naiwną konsternację, gdy przekonałem się, że zwolennicy rolnictwa organicznego mogą traktować „organiczną metodę upraw” jako cel sam w sobie. Dla mnie rolnictwo organiczne było atrakcyjne zarówno jako sposób ochrony przyrody, jak i jako strategia przetrwania dla drobnych rolników. Możecie sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy odkryłem, że mogą istnieć ogromne „organiczne” monokultury! Nie byłem więc już zbyt zaskoczony, gdy niedawno Departament Rolnictwa Stanów Zjednoczonych usiłował przywłaszczyć sobie etykietkę „organiczne” i ukrywać pod nią napromieniowanie żywności, inżynierię genetyczną i inne przykłady bezczeszczenia gospodarki żywnościowej przez korporacje. Gdy raz pozwolimy, by nasze słowa znaczyły dla każdego to, co sam chce przez nie rozumieć, odtąd to, co mówimy, przestaje być brane poważnie. Gdy wyrażenie „domowej roboty” przestaje znaczyć ni mniej ni więcej jak tylko „zrobione w domu”, to może już ono znaczyć cokolwiek, a skoro może znaczyć cokolwiek, to nie znaczy już nic.

Jak widzicie, mam swoje powody, żeby odmawiać nadania nazwy ruchowi, którego jestem uczestnikiem. Pogodziłem się już z myślą, że od czasu do czasu ruch ten określi się jakąś nazwą i będzie miał jakieś hasła, ale nie zamierzam używać tych haseł ani nazywać mego ruchu żadną z jego nazw.

Przypuśćmy, że mamy jakiś Bezimienny Ruch na Rzecz Lepszego Użytkowania Ziemi i wiemy, że musimy starać się, aby pozostał on przez długi czas aktywny, wrażliwy i inteligentny. Co powinniśmy czynić?

Myślę, że przede wszystkim musimy starać się w pełni dostrzegać rozmiar problemu i skalę trudności. Jeśli martwią nas nadużycia w stosunku do ziemi, to musimy zauważyć, że jest to problem gospodarki. Każda gospodarka jest, z definicji, sposobem gospodarowania ziemią. Jeśli źle korzystamy z naszej ziemi, to coś jest nie w porządku z naszą gospodarką. To trudne. I staje się jeszcze trudniejsze, gdy sobie uświadomimy, że w dzisiejszych czasach każdy z nas uczestniczy w gospodarce każdego innego człowieka.

Jeśli jednak martwimy się złym wykorzystywaniem ziemi, to już wstąpiliśmy na grunt głębokiej krytyki systemu gospodarczego. Wnikając w historię użytkowania ziemi (choćby lokalną historię jakiegokolwiek okolicy), dowiadujemy się, że od dawna mamy taką gospodarkę, która prosperuje dzięki podkopywaniu własnych fundamentów. Industrializm – bo tak na imię naszej gospodarce, praktycznie jedynej gospodarce funkcjonującej w dzisiejszym świecie – od samego początku szaleje w sposób niekontrolowany. Opiera się on wprost na zasadzie gwałtu zadawanego wszystkiemu, od czego gospodarka jest zależna, i bez względu na to, czy industrializm przybierał formę komunistyczną, kapitalistyczną czy jakąkolwiek inną, zawsze oznaczał on taki sam gwałt na przyrodzie, wspólnotach ludzkich, tradycyjnych postaciach rolnictwa i lokalnych gospodarkach. Złe wiadomości docierają dosłownie z całego świata. Czy taką gospodarkę można naprawić bez jej radykalnego przeobrażenia? Nie sądzę.

Wodzowie Przemysłu zawsze radzili nam, reszcie świata, żebyśmy byli „realistami”. No to bądźmy realistami. Czy jest realistycznie zakładać, że obecna gospodarka byłaby w sam raz, gdyby tylko przestała zatruwać powietrze i wodę lub gdyby tylko powstrzymała erozję gleby, lub gdyby tylko przestała degradować zlewnie wód i ekosystemy leśne, lub gdyby tylko przestała deprawować dzieci, lub gdyby tylko przestała przekupywać polityków, lub gdyby tylko dała kobietom i wyróżnionym mniejszościom godziwą miarkę w podziale łupu? Realizm, moim zdaniem, to program bardzo ograniczony, ale przynajmniej mówi on nam, że nie powinniśmy szukać ptasich jaj w zegarze z kukułką.

Beznadziejność zmagania o pojedyncze sprawy i ruchów walczących o pojedynczy cel możemy też wykazać podążając następującym torem myślenia: Potrzebujemy ciągłego dopływu nieskażonej wody. A więc potrzebujemy (między innymi) rolnictwa i leśnictwa prowadzonych takimi metodami, które chronią glebę i wodę, czyli nie opierają się na monokulturach, toksycznych chemikaliach oraz obojętności i gwałcie, które zawsze towarzyszą przemysłowym przedsięwzięciom na wielką skalę realizowanym na naszej ziemi. Potrzebujemy więc różnorodnych systemów gospodarowania ziemią w małej skali, które opierają się na ludziach. A zatem potrzebujemy ludzi o odpowiedniej wiedzy, umiejętnościach, motywacjach i postawach – takich, jakich wymagają zróżnicowane systemy gospodarcze małej skali. I wszystko to wygląda przejrzystie i ładnie, do chwili aż przyjdzie nam zadać sobie pytanie: „Gdzie są ci ludzie?”.

Ci z nas, którzy żyją pośród nieszczęsnych wiejskich pejzaży Stanów Zjednoczonych dobrze wiedzą, że większość ludzi dociera w te okolice w celach jedynie rekreacyjnych. Widzimy ich jeżdżących na rowerze, pływających łódką, wędrujących z plecakiem lub z przyczepą campingową, polujących, łowiących ryby albo jadących samochodem i rozglądających się. Ci ludzie nie – mówiąc słowami Mary Austin – „spędzają z tą ziemią lat i zim”. Nie znają oni ludzkiej ani przyrodniczej ekonomiki tych

ziem. Choć ludzie w swym rozwoju nie wyzbyli się potrzeby jedzenia i picia, noszenia ubrań i zamieszkiwania w domach, większość z nich jednak wyzbyła się domowych kunsztów, które pozwalają wytwarzać i konserwować te potrzebne rzeczy. Mało tego: ci stosunkowo nieliczni, którzy wciąż praktykują owe niezbędne umiejętności, często odczuwają potrzebę usprawiedliwiania się z tego powodu, gdyż w naszym systemie edukacyjnym starannie wpojono im, że owe zajęcia degradują człowieka i są niegodne jego talentów. Wykształcone umysły w epoce nowożytnej rzadko wiedzą cokolwiek na temat jedzenia i picia, ubrania i schronienia. Traktując to wszystko jako coś, co samo przychodzi, wykształcony nowoczesny umysł okazuje się najbardziej przesądnym, jaki kiedykolwiek istniał na tym świecie. Jakiż może być większy przesąd niż wyobrażenie, że pieniądze stwarzają jedzenie?

Nie sugeruję, bynajmniej, żeby wszyscy zostali rolnikami albo leśnikami. Broń Boże! Sugeruję tylko, że większość ludzi żyje dziś w dalekim oderwaniu od realiów, co może mieć katastrofalne skutki. Większość ludzi jest dziś karmiona, odziewana i ma dach nad głową dzięki czerpaniu ze źródeł, w stosunku do których nie odczuwa żadnej wdzięczności ani odpowiedzialności. Nie ma żadnego znaczącego samorządu miejskiego, żadnego potężnego lobby konsumenckiego, żadnej zauważalnej siły politycznej, które by walczyły o odpowiedzialne użytkowanie ziemi, uprawę roli i leśnictwo, o uzdrowienie gleby zdegradowanej przez nadużycia czy o powstrzymanie niszczenia ziemi przez tzw. „zagospodarowywanie” i „rozwój”.

Doskwiera nam dziś dotkliwy brak wyobraźni. Większość z nas nie umie sobie wyobrazić pszenicy, z której bierze się chleb; rolnika, któremu zawdzięczamy pszenicę; gospodarstwa, dzięki któremu żyje rolnik; ani historii, która doprowadziła do powstania gospodarstwa w takiej a nie innej postaci. Większość ludzi nie umie sobie wyobrazić lasu ani ekonomiki lasu, którym zawdzięczają swoje domy, meble i papier; ani krajobrazów, rzek

i pogody, dzięki którym ich dzbany, wanny i baseny napełniają się wodą. Większość ludzi zdaje się zakładać, że skoro zapłacili za te rzeczy pieniędzmi, to już całkowicie wywiązali się ze swoich zobowiązań.

Pieniądze nie stwarzają jedzenia. Nie stwarza go też technika systemu żywnościowego. Jedzenie bierze się z przyrody i z ludzkiej pracy. Jeśli zaopatrzenie w żywność ma być niezawodne przez długi czas, to człowiek musi pracować w harmonii z przyrodą. To oznacza, że człowiek musi znaleźć praktyczne odpowiedzi na wiele trudnych, realnych pytań. To samo dotyczy leśnictwa i możliwości ciągłych dostaw drewna.

Zadanie, które nas czeka, można by opisać jako potrzebę poszerzenia świadomości i rozbudzenia sumienia gospodarki. Nasza gospodarka musi wiedzieć, co robi i troszczyć się o to. Jest to stwierdzenie rewolucyjne – owszem, jeśli pociągają cię rewolucje – ale jest to również coś, co dyktuje zwykły rozsądek.

Bez wątpienia znajdą się ludzie chętni zapoczątkować ruch, który postawi sobie taki właśnie cel. Zapewne nazwą go Ruchem Uczenia Gospodarki O Tym, Co Ona Robi – w skrócie: rugotcor. Co prawda ze sporym dyskomfortem, jednak poprę jego powstanie, pod trzema wszakże warunkami.

Pierwszy warunek będzie taki, że ruch powinien od początku porzucić wszelką nadzieję i wiarę pokładaną w cząstkowe rozwiązania, załatwiane jednym posunięciem. Prowadzone przez dzisiejszą naukę poszukiwania bezwonnego świńskiego nawozu powinny być dla nas wystarczającym dowodem, że specjaliści nie są już po naszej stronie. Mimo stuleci redukcjonistycznej propagandy świat jest wciąż zawiły i rozległy, ma w sobie tyle samo mroku co światła, i jest miejscem misterium, gdzie nie możemy zrobić jednej rzeczy, nie robiąc jednocześnie wielu innych, ani połączyć dwóch rzeczy, nie łącząc przy tym wielu innych. Jakości wody, na przykład, nie da się poprawić nie poprawiając rolnictwa i leśnictwa, ale rolnictwa i leśnictwa

nie można ulepszyć bez ulepszenia edukacji konsumentów – i tak dalej.

Właściwym zadaniem ludzkiej gospodarki jest uczynić nas i ten świat jednością. Doprowadzenie do tego, że staniemy się praktyczną jednością z ziemią pod naszymi stopami być może nie jest w ogóle możliwe – skąd mamy to wiedzieć? – ale stawiając to sobie za cel naszych dążeń przynajmniej wychodzimy ze ślepego zadufania, porzucając bezpodstawne założenie, iż możemy podzielić współczesne wielkie fiasko na tysiąc odrębnych problemów, z którymi zdołamy się uporać przez powołanie tysiąca grup akademickich i biurokratycznych specjalistów. Ten program już był wypróbowywany wystarczająco długo, byśmy zdali sobie sprawę, że nie tędy droga.

Moim drugim warunkiem jest to, żeby członkowie ruchu (rugotcor) brali na siebie pełną odpowiedzialność za to, co sami robią jako uczestnicy istniejącej gospodarki. Jeśli chcemy pouczać gospodarkę o tym, co ona robi, to musimy dowiedzieć się, co robimy my sami. Ten ruch będzie musiał być w takim samym stopniu prywatny, jak publiczny. Jeśli nierealistyczne jest oczekiwanie, że marnotrawne zakłady przemysłowe zaczną chronić zasoby, to oczywiste jest, że musimy po części udzielać się publicznie – wnosić skargi, składać petycje, protestować, domagać się i popierać surowsze przepisy i zdrowsze programy polityczne. Ale to nie wystarczy.

Jeśli nierealistyczne jest oczekiwanie, że zła gospodarka sama postara się stać dobrą, to musimy zabrać się do pracy i zacząć budować dobrą gospodarkę. To, że ten obowiązek przypada właśnie nam, jest jak najbardziej na miejscu, gdyż postępować zgodnie z zasadami dobrej gospodarki łatwiej jest nam niż wielkim korporacjom z ich błędnie wykształconymi menedżerami oraz chciwymi i nieświadomymi akcjonariuszami. Skoro jest to łatwiejsze właśnie dla nas, to musimy starać się na wszelkie możliwe sposoby prowadzić sensowną gospodarkę we własnym życiu, w naszych obejściach i w społecznościach, w których żyjemy. Musimy robić więcej dla siebie i naszych bliźnich.

Musimy uczyć się wydawać pieniądze u naszych przyjaciół, a nie u wrogów. W tym celu jednak konieczne jest odnowienie lokalnej gospodarki i ponowne ożywienie domowych kunsztów.

Dążąc do zmiany sposobu gospodarczego użytkowania świata, nieuchronnie dążymy do zmiany własnego życia. Pożądana przez nas zewnętrzna harmonia między gospodarką a światem zależy w sumie od wewnętrznej harmonii między naszymi sercami a duchem, z którego wywodzi się życie wszystkich stworzeń, duchem, który jest nam tak bliski, jak ciało, a jednak wiecznie pozostaje poza wszelkimi miarami w tej dobie obsesyjnych pomiarów. Uprawiać dobrą pszenicę i piec dobry chleb możemy tylko wtedy, jeśli pojmemy, że nie samym chlebem żyjemy.

Moim trzecim warunkiem jest to, żeby ruch pozostał ubogi. Musimy znajdować tanie rozwiązania, rozwiązania, które będą w zasięgu każdego, a tymczasem dostępność dużych pieniędzy uniemożliwia odkrywanie tanich rozwiązań. Rozwiązania nowoczesnej medycyny i nowoczesnego rolnictwa są wszystkie zawrotnie kosztowne, i jest to spowodowane po części dostępnością olbrzymich sum pieniędzy na badania w tych dziedzinach. Ponadto zbyt duża ilość pieniędzy przyciąga administratorów i ekspertów, tak jak cukier przyciąga mrówki – wystarczy zobaczyć, co się dzieje na uniwersytetach. Nie powinniśmy zazdrościć zamożnym ruchom, organizowanym i kierowanym przez alternatywną biurokrację żyjącą z problemów, które powinna rozwiązywać. Chcemy takiego ruchu, który jest właśnie ruchem – ponieważ posuwają go naprzód wszyscy uczestnicy, w swoim codziennym życiu.

Teraz, gdy już skompletowałem tę doprawdy groźnie wyglądającą listę piętrzących się przed nami problemów i trudności, obaw i lękliwych nadziei, ogarnia mnie poczucie ulgi, gdyż widzę, że przez cały czas szykowałem się do tego, aby na koniec powiedzieć coś podnoszącego na duchu. Wszystko, o czym tu mówię dotyczy możliwości odrodzenia ludzkiego szacunku dla tej Ziemi i dla wszystkich dobrych, pożytecznych i pięknych rzeczy, które z niej pochodzą. Pokazałem jasno – mam nadzieję

– że tego szacunku nie da się należycie wyrazić przez uchylanie kapelusza przed naturą ani przez przedstawianie jej piękna w sztuce, ani przez modlitwy dziękczynne, ani przez obejmowanie ochroną skrawków dzikiej przyrody – choć polecam każdą z tych rzeczy. Szacunek, który mam na myśli można wyrazić tylko przez czynienie dobrego użytku z dóbr świata, które są nam dane. Jedyną, że się tak wyrażę, walutą szacunku, jest właśnie ów dobry użytek, a wraz z odradzaniem się w ten sposób szacunku dla Ziemi odradza się w nas także poczucie przyjemności. Powołania i dyscypliny, które określiłem jako domowe kunszty, znaczą całą długość drogi od gospodarstwa do gotowego obiadu, od lasu do obiadowego stołu, od gospodarzenia ziemią po gościnność względem przyjaciół i nieznajomych. Kunszty te są równie wymagające, i równie wdzięczne, równie pouczające i równie przysparzające przyjemności, jak tak zwane „sztuki piękne”. Uczenie się ich to praca będąca – jestem przekonany – naszym najgłębszym powołaniem. Nagrodą będzie wzbogacenie naszego życia oraz radość.

Autorstwo: Wendell Berry

Tłumaczenie: Paweł Listwan

Zdjęcie: Tomasz Chmielewski

Źródło oryginalne: „Resurgence” nr 198/2000

Źródła polskie: NowyObywatel.pl, „Obywatel” nr 10/2002